

Leżący przed nim tekst do korekty nosił tytuł *Pozytywne opinie o twórczości Stephena Kinga*. Czerwonym długopisem zamienił „pozytywne” na „entuzjastyczne”. Potem dwa razy podkreślił „Stephen King” i napisał na marginesie: „Kapitaliki plus wykrzyknik”.

Niżej na kartce znajdowały się cytaty z „The New York Times Book Review”, „The Wall Street Journal”, „Publisher s Weekly”, „Playboya”, „Time'a”, „Esquire” i „People”.

Zanotował na dole strony: „Dodać załączone notki reklamowe”. Potem przypiął do korekty cztery zapisane od góry do dołu kartki z cytatami z „The Palm Beach Post”, „Interview”, Michaela Connelly ego („Najwyższa półka. Na książce Kinga się nie zawiedziesz”), Mordecaia Richlera, „Chattanooga Times”, „Flint Journal”, „Baton Rouge Advocate”... Przez całą noc przeglądał swoje archiwum („Stephen King to Winslow Homer malujący krwią” - „The New Yorker”).

Przed kilkoma tygodniami podrasował jakąś starą niedorobioną opowieść, wysłał do Pogrobowca, by wydać ją jako nową rzecz w oprawie broszurowej, i zamierzał sprzedać ten ewidentnie drugorzędny tekst („Najwyższa półka”!) z możliwie największym zadęciem. To jak w tej piosence, którą Tabitha uwielbiała nastawiać w samochodzie: *Long as you keep 'em way off balance/How can they spot you got no talents?*

- Stephen - powiedziała mu - nieważne, co im tam wysyłasz. Możesz wysłać kawałek zużytej srajtaśmy, a oni ją wydadzą. O to się nie martw. Bierz forszę i w nogi. Zawsze ujedziesz kawałek dalej.

Miała rację, oczywiście, ale ten greps ze użytą srajtaśmą jakoś mu nie podszedł. I w końcu w geście, który eufemistycznie można by nazwać autodestrukcyjnym, wynalazł starą opowiadankę, którą przemianował na *Próbkę stolca*.

„Świetny tytuł - odpisał Jerry Goniffz Pogrobowca. - Powiem w dwóch słowach: dowcipny, ironiczny, intrygujący”

„Super” - pomyślał King. „W dwóch słowach”, a potem następują trzy przymiotniki. „Z kim ja pracuję!” Jego wydawcą był analfabeta, który prawdopodobnie nawet nie czytał tego, co od niego dostawał. „Boże, mamy coś Stephena Kinga. Wykupcie całostronicową reklamę w «Publishers Weekly»”.

Zastanawiał się, jak będzie brzmiało hasło reklamowe:

*Próbka stolca* - Zanurz się w tym!

*Próbka stolca* - Popuścisz z wrażenia!

*Próbka stolca* - Nocnik pełen strachu!

Nikt już niczego nie czyta. Ale jakie to ma znaczenie? Ludzie kupują na wagę czterdziestostronicowe broszury z dowcipami. *Co ma w głowie George W. Bush*. I w środku puste kartki, cha, cha.

Usiadł przy komputerze i wszedł na stronę w ulubionych: Amazon Books. *Historia Lisey* Stephena Kinga. Przewinął dalej. Miejsce w rankingu sprzedaży: 246

- Cholera - powiedział głośno.

Wczoraj było 204. Coraz gorzej. Jak to możliwe, żeby powieść Stephena Kinga spadła na 246 miejsce? I to zaledwie po sześciu miesiącach? Przecież jest Stephenem Kingiem! Znalazł się na okładce „Newsweeka”, niech to szlag! Przez rok utrzymywał się na liście bestsellerów. Był numerem jeden wśród hitów gwiazdkowych przez dziesięć lat z rzędu! A teraz jego książki utrzymywały się na liście przez trzy tygodnie, po czym relegowano je na stertę za dolara dziewięćdziesiąt dziewięć. Niebawem zaczną promować jego książki już na sześć miesięcy przed wydaniem! Coś usłyszał?

- Tabitha? Brak odpowiedzi.

Nagle wyobraził ją sobie wiszącą w kuchni. Nago. Powieszoną na przedłużaczu. Z kartką na szyi: „Ty bendziesz następny”. (Zabójcy zawsze piszą z błędami). Linie telefoniczne są przecięte: główny przewód wyrwany z gniazdka.

Znowu hałas na dole.

- Tabby?

Może to Pluto, jego czarny kot.

Kontrolka systemu alarmowego świeciła się na zielono - wszystkie siedemdziesiąt dwa czujniki w porządku, obwody zamknięte, drzwi i okna zabezpieczone. Oczywiście, kawałek drutu o długości sześciu cali z dwiema klamerkami na poddaszu załatwiłby cały system alarmowy - umożliwiłby obejście zabezpieczeń i wszystkie okna oraz drzwi stałyby się dostępne. Mogli zorganizować to wszystko w tygodniu, kiedy w miejsce corocznie wymienianej baterii awaryjnej zainstalowano system

SuperOchrona. Niczym nieograniczony dostęp do domu. „Miło pana widzieć, panie King”. A teraz proszę nie wchodzić nam w drogę, bo będziemy robić obejście systemu, żeby w następnych dniach moi kumple mogli pana obrobić, gdy na torturach wszystko im pan wyśpiewa”.

Było coś podejrzanego w kobiecie, którą przysłali, takiej po dwudziestce, z lekką nadwagą, zaczerwienioną twarzą. Od kiedy to baby zajmują się taką robotą - włączają na gorące poddasza, wciskają się między belki stropowe a starą izolację z włókna szklanego - pas z narzędziami, niebieska bandana i tatuaż z drutem kolczastym? Świetne zagranie. Wysłać młodą kobietę, żeby rzuciła mu gorące spojrzenie niebieskich oczu: „No chodź, zabawmy się na włóknie szklanym, Stephen, a potem spadniemy przez sufit na twój stół w jadalni. Hej, autorze światowych bestsellerów, już ja poprawię twoje notowania w rankingu sprzedaży Amazon”.

Powinien był zapisać sobie jej nazwisko, a potem zadzwonić do SuperOchrony, żeby sprawdzić, czy naprawdę pracuje tam jakaś Jane.

- Jane? Jasne. Pracowała u nas ze trzy lata temu. Aż do tego...

- Aż do czego ?

- Cóż, w gruncie rzeczy nie mogliśmy jej niczego udowodnić, panie King.

Z góry dobiegały miękkie odgłosy kroków. Ktoś tam chodził na bosaka.

- Tabby?

Po południu kuchnia powinna być dobrze oświetlona, tylko kraty w oknach rzucają cienie na ściany i na podłogę wyłożoną hiszpańską terakotą.

Na klawiaturze systemu alarmowego, ukrytej w szafce kuchennej, wystukał S-P-R-U-C-E (panieńskie nazwisko Tabby). Zapaliła się bursztynowa lampka, gdy czternaście działających na podczerwień czujników temperatury i ruchu rozjarzyło się szkarłatem we wszystkich pomieszczeniach. To były diabelskie oczy tego domu.

- Dobra, dupku - powiedział do niewidzialnego intruza. - Spróbuj tylko się ruszyć.

Zastygł w miejscu, nasłuchując.

Jeśli nie brać pod uwagę szumu lodówki, panowała cisza.

Ta cisza zaczęła go niepokoić, więc włączył radio na baterie, które trzymał na wypadek awarii prądu. Z odbiornika huknął na cały regulator głos Johna Fogerty ego, wprawiając w drgania tanią plastikową obudowę.

*It aint me, it aint me,*

*I aint no milionaire's son!*

King mu zawtórował: *I aint no fortunate one!*

Radio, jak wszystkie inne odbiorniki w domu, nastawione było na WKIT-FM, stację grającą starego rocka, którą kupił, gdy była bliska bankructwa. Działała teraz dzięki kilku lokalnym sponsorom, ale głównie dzięki jego wielkodupności. *Jej wielkodupność*, powieść Tabithy King. Dobra, to było okrutne. „Tego nie było, tego nie było” - powiedział głośno. Wszystkie kobiety w średnim wieku mają duże dupy. Nawet te zabiegane.

Tabitha zwróciła się do niego w zeszłym miesiącu:

- Stephen, próbowałam odtworzyć historię moich poszukiwań w komputerze i trafiłam na link „nastoletnie bikini”. Przeglądałeś zdjęcia kostiumów kąpielowych dla nastolatek? Nie jesteś pedofilem, mam nadzieję? Nie chciałam być wścibska, znalazłam to przypadkiem.

A on pomyślał: A czego mam szukać, kiedy chcę obejrzyć świńskie zdjęcia? „Dresy dla dojrzałych kręglitek”? „Bielizna dla gorących czterdziestek po histerekтомii”?

Odparł:

- Szukałem koncepcji graficznej do cyklu telewizyjnego.

- Chyba zamieniasz się w starego świntucha.

- Nie, nie, to do cyklu w TNT: *Stephen King przedstawia: Najlepsze Dzieła Stephena Kinga: wybór Stephena Kinga, wprowadzenie autora*. - Zastanowił się przez chwilę. - Nie sądzisz, że powinienem zamienić „autora” na „Stephena Kinga”? Chciałbym, żeby ludzie wiedzieli, kto za co odpowiada.

W gabinecie zadzwonił telefon. King wyszedł do holu i natychmiast włączył się alarm. Był tak przeraźliwy, że mógł spowodować u włamywacza zawał serca. Głośnik znajdował się na poddaszu, a jego dźwięk rozchodził się przez otwory wentylacyjne. Cały dom aż drzał w posadach.

Rozdzwonił się też prywatny telefon w kuchni.

- Chwileczkę, na miłość boską.

Wystukał kod, żeby wyłączyć czujniki na podczerwień, i gdy alarm zamilkł, podniósł słuchawkę.

- Tu SuperOchrona - usłyszał. - Czy potrzebuje pan pomocy?

- Nie, uruchomiłem alarm niechcący. Wszystko w porządku.

- Musi pan podać hasło.

- „Książki Kinga już w ponadczterdziestomilionowym nakładzie!”

- Nie zgadza się.

- A tak. Uaktualniłem je. „Książki Kinga już w ponad-czterdziestosiedmiomilionowym nakładzie!”

- Dziękuję.

Ruszył w stronę „służbowego” telefonu w gabinecie. Na wyświetlaczu zobaczył, że dzwonią z „Bangor Daily News”. Odczekał, aż zgłosi się automatyczna sekretarka. Nagrał na niej dźwięk wiatru i deszczu oraz niesamowity śmiech, który podłożył ze starej płyty winylowej *Walt Disney przedstawia: przerażające, wywołujące ciarki odgłosy nawiedzonego domu*; kupił ją za siedemdziesiąt dziewięć centów, gdy miał szesnaście lat. „Tu Stephen King. Dziękuję za telefon pod Przekłety Numer. Po wybraniu jego siedmiu cyfr ściągnęłaś na siebie i swoją rodzinę starożytną, nieodwracalną klątwę. Umrzesz w ciągu dziesięciu dni. Jeśli chciałbyś zginąć w wypadku samochodowym, wybierz jeden. Jeśli chciałbyś, żeby za ciebie zginęło twoje dziecko, naciśnij klawisz ze znakiem funta. Jeśli chciałbyś zostawić wiadomość, nagraj ją po sygnale, choć jego wysłuchanie również oznacza ściągnięcie klątwy na twojego pierworodnego”. Piii.

- Panie King, tu Renee Obsrayweb z „Bangor Daily News”. Jestem redaktorem serwisu informacyjnego i chciałabym zapytać, czy możemy od pana uzyskać wypowiedź na temat śmierci Sue Grafion. Byłabym wdzięczna, gdyby zadzwonił pan do mnie pod numer dziewięć dziewięć zero osiem jeden trzy osiem albo wysłał e-mail pod adres: erkropkaobsrayweb, małpa, bangordailynewskropkakom. Jeszcze raz powtórzę: obsrayweb...

Podniósł słuchawkę.

- Ma pani na nazwisko „obsrajłeb”?

Miała staranną wymowę: kulturalną, z nieznacznym akcentem, może jamajskim.

- Obsrayweb. Z francuska. Moja rodzina pochodzi z Haiti. Jesteśmy bardzo dumni z naszego nazwiska.

- Chyba ciężko było pani z nim w szkole.

- Wszyscy szybko się przyzwyczajają. Ale dzwonię w związku ze śmiercią...

- A tego pierwszego dnia? Kiedy wyczytują pani nazwisko z listy? Obsrajłeb Renee. Boże, znosić coś takiego przez dwanaście lat!

- Wszyscy podchodzili do tego taktownie.

- Nie mogę uwierzyć, że rodzice narazili panią na coś takiego.

- Panie King, moi rodzice są dumni ze swojego nazwiska. Jak mówiłam, dzwonię w związku ze śmiercią Sue Grafion, której zwłoki znaleziono dziś rano w Szwajcarii.

- Renee Obstrajłeb.

- Obsrayweb.

- Obsrayweb. Sądzi pani, że po ziemi chodzą ludzie, którzy nazywają się... no, sam nie wiem... Clarence Pierdolwacik? Czy Vicki Sue Waginadech?

- Dzwonię w sprawie Sue Grafion. Pomyśleliśmy, że jako sławny pisarz zechciałby pan nam udzielić wypowiedzi, żebyśmy mogli dodać od siebie jakiś smaczek, nie tylko przekazać suchą informację.

- Francesca Sportstanik, chciałbym ci przedstawić Terrence'a Puchnie-Moszna. A to jego piękna córka Rebecca Kał-Maz.

- Panie King...

- Wymawia się Kingu. Dwie sylaby. Moi rodzice są kretynami i widzą w tym powód do dumy.

- Co takiego?!

- Powiedziałem, że są Kreteńczykami i widzą w tym powód do dumy. Dobra. Udzielę wypowiedzi. Jest pani gotowa?

- Byłoby świetnie. Jestem gotowa. Fantastycznie. Autor bestsellerów jednego gatunku literackiego wypowiada się na temat autora książek innego gatunku...

- Hola! Jedną chwileczkę. Zamierza mnie pani przedstawić jako pisarza jakiegoś gatunku? Czy dobrze usłyszałem?

- Przedstawię pana, jak pan zechce...

- Czytała pani przemówienie, które wygłosiłem, odbierając medal National Book Foundation za wybitne osiągnięcia w służbie literatury amerykańskiej? Czytała pani to przemówienie? W ogóle wie pani, że dostałem taki medal? I, proszę posłuchać, „za wybitne osiągnięcia w służbie literatury amerykańskiej”, nie „w służbie tępych chujów, którzy chcą czytać o rozwalanych łbach”. Rozumiemy się? Jest pani tam?

- Jestem.

- To proszę posłuchać. Chce się pani czegoś dowiedzieć? To niech pani wejdzie na stronę Amazon i zamówi cedeka z moim przemówieniem. W rankingu sprzedaży plasuje się na miejscu sto czterdziestym szóstym i dwieście siedemdziesiąt dziewięć tysięcy, bo te tępe chuje, które czytają moje książki, nawet nie wiedzą, że je wygłosiłem. A to ten sam medal, który zdobył John Updike, rozumiemy się? I pieprzony Arthur Miller! *Śmierć pieprzonego komiwojażera*, mówi to pani coś? Dobra, a dlaczego mi go przyznali?

- Panie King...

- Czy przyznali mi go, bo jestem autorem horrorów, autorem książek jakiegoś konkretnego gatunku? Facetem, który napisał *Opowieści z krypty*? Nie, przyznali go Stephenowi Kingowi, bo jest prawdziwym pisarzem, rozumiemy się?

- Ani razu nie powiedziałam...

- Piszę eseje. Czytała pani *Danse macabre*? To coś z zakresu cholerniej krytyki literackiej, szanowna pani. A czytała pani mój tekst w „New Yorkerze” na temat małej ligi bejsbolu? Tak? Kiedy w „New Yorkerze” potrzebują powiastki na Halloween, nie dzwonią do pieprzonego J.D. Salinger, tylko do Stephena Kinga. Więc niech sobie pani ten swój smaczek dla „Bangor Daily News” - pisarz jednego gatunku wypowiada się o innym - wsadzi w...

Rozłączyła się.

- A pieprz się - stwierdził King.

Dał się słyszeć jakby odgłos upadającego krzesła. Zdecydowanie w domu ktoś był.

- Halo! Jest tam kto?! - zawołał i natychmiast zdał sobie sprawę z własnej głupoty.

Gdyby oglądał w telewizji horror klasy C i bohater, sam w domu, wykrzyknąłby: „Halo! Jest tam kto?”, on wrzasnąłby do odbiornika: „Tak, to ja. Cholerny seryjny morderca w masce kościotrupa na Halloween. Ukryłem się za zasloną prysznicową w łazience na piętrze. Podoba mi się zapach twojej kokosowej odżywkii do włosów. Coś jeszcze chciałbyś wiedzieć? PIN mojej karty Visa? Dwa, pięć, osiem...”

- Tabby! - zawołał i to imię uwięzło mu w gardle.

Odeszła od niego. Po trzydziestu pięciu latach małżeństwa w końcu go opuściła: ten intymny język, którym rozmawiali przez całe życie, wspólne pokoje hotelowe w Charlottesville na Festiwalu Literackim...

Usiadł przy stole kuchennym i nalał do szklanki ekologicznego soku grejpfrutowego Walnut Acres, bo chociaż nie pozwalał już sobie na picie wina, to ten sok w smaku trochę je przypominał. Próbował sobie wmówić, że to jest wino.

W radiu leciał albo *Midnight Rambler*, albo jakiś inny chałowy kawałek Allman Brothers. Wciąż nadawali nie to, co trzeba. Zadzwoił do dyskdzokeja.

- Hej, mógłbyś puścić Johna Fogertyego?

- A ty słuchasz, koleś? Właśnie puściłem.

- Tu Stephen King.

- Dobra, stary, żaden problem. I wiesz co, facet, uwielbiam *Colorado Kid*.

King odłożył słuchawkę.

- Taaa, jasne, ty kłamliwy gnoju.

Nawet on wiedział, że to kiepskie opowiadanie.

W połowie piosenki Allman Brothers rozplłynęli się w elektronicznych oklaskach ze stadionu bejsbolu, którymi rozpoczynało się *Centerfield* Johna Fogertyego.

- Super - stwierdził King. Właśnie tej piosenki potrzebował.

*Put me in, coach, I'm ready to play!*

Tak, cholera, był gotów do gry. *A moment in the sun*. Dźwięk łamanego kija do bejsbolu.

